

Eliza Kącka

Ruszamy nocą, by możliwie dużo ujechać, nim się obudzi. Początek ciepłego września, wiatr od pól za lecznicą. Mieszanka nocnego potu ziemi, drzew, ściółki, krowiaku i metalu. Tak, suchość pokrytych rdzą plandek składowanych za płotem po drugiej stronie drogi to złudzenie dnia – nocą aromat korozji okazuje się wyczuwalny. Wygrywa z cierpkim zapachem świerkowej żywicy, chociaż świerki rosną tuż przy naszym bloku. Kiedy jeszcze chodziłam do szkoły, mówiłam rodzicom, że muszę „iść pochodzić”, i wymykałam się wachać pędy. Chłodziły jak lód. „To rosa” – powiedział zdziwiony ojciec, kiedy ja-dziecko przedszkolne cieszyłam się, że na łące jest dużo roztopów świerkowych. Że świerki spłynęły. Co też wymyśliłam, drzewa się nie topią.

A teraz trzeba iść po ciebie na pierwsze piętro, o trzeciej w nocy. I wywlec cię z nory, która zawsze zdawała mi się za ciasna, ale dla ciebie stanowi bezpieczny schron. I trzeba zrobić to delikatnie, żebyś nie zaczęła wyć, bo przez całą drogę do nadwiślańskiej puszczy się nie uspokoisz. Nie mam silnych rąk i najchętniej prosiłabym mojego ojca, ale wiem, instynktownie wiem, że tym razem to muszę być ja. Mój zapach musi asekurować tę operację. Wchodzę na palcach do pokoju, ulga. Szczęśliwie leżysz twarzą do ściany, mogę rozłożyć koc, i jeszcze jeden, i jeszcze. Szttywny becik dla pięcioletniego ciała. Zbliżam się, zaczynasz się prężyć. A może tylko tak mi się wydaje, może to moje ciało przejął skurcz mięśnia niepokoju, który mi się przy tobie wykształcił. Ręce słabną z napięcia, czas działać. Matka stoi w drzwiach: „Może poniosę jej głowę?”. „Nie trzeba, ja sama”. Obracam cię na plecy, odczekuję, przerzucam na koc. Ciężko, ale w takich razach miast krwi krąży w ciele prąd. Już na korytarzu zaczynasz się wybudzać, pokrzykiwać. Klnę, że wszystko na nic. Wynoszę cię z klatki schodowej, szarpiesz się tak, że ledwie jestem w stanie cię utrzymać.

Na nic było rytualne skupienie w przedreptywaniu trasy od drzwi twojego pokoju do krawężnika, przy którym za dwie godziny stanie samochód ojca. Nerwowym krążeniem modliłam się o spokojną drogę, jak niektórzy tańcem modlą się o deszcz. Skompromitowana szamanka, nic nie wychodziłam.

A teraz idziemy, mały kondukt pasyjny. Otwiera go drobiąca nerwowym kroczeniem pieta. Za nią matka płacząca z torbami z Ikei, a na końcu przejęty ojciec z dwójką młodych

współpracowników ze wsi podlidzbarskiej. Ci, każdy z regałem na plecach, robią minę zażenowanych pomagierów przy procederze, z którym nie chcą mieć nic wspólnego, i woleliby nie patrzeć na tę mękę w odcinkach. Zatrzymują się przy bagażówce i gapią przepraszająco. Uśmiecham się do nich, ledwie nadążając za ruchami dziecka, za mostkami w powietrzu, którym nie umiem dać oparcia. Zbyt wolno, stanowczo zbyt wolno rozkłada mój ojciec koce w samochodzie. Każda sekunda w miejscu może doprowadzić do wybudzenia, a są to godziny kluczowe, decydujące o powodzeniu lub fiasku całego dnia. Trudno, już wiem, że przegrałam. Zresztą to przecież było nie do przeprowadzenia. Nie do uwiezienia jest sen między Lidzbarkiem a Warszawą.

Słabnę, mój ojciec cię przejął. Opracowaliśmy wczoraj samochód jak pole bitwy, chociaż tak mało w nim miejsca na manewry. Jesteśmy trzyosobowym oddziałem partyzanckim o słabym wywiadzie i niepewnych środkach. Jedno szczęście, że nikt nie chce cię odbić, ale nie pomagasz swoim obrońcom w cichym, sprawnym transporcie. A trudno jest walczyć na dwa fronty, wiesz, jedną ręką gasić twój niepokój, a drugą złość otoczenia. Pozycja odpowiadająca takiemu macierzyństwu w jodze świata musiałaby nazywać się „różą wiatrów”. A życie i tak, znużone nami, puściłoby ją w drzazgi. Podciąłoby nam sznureczki.

Już nie myślę, nie szarżuję. Siedzę na tylnym siedzeniu jak porzucony pajac, z twoją głową na kolanach. Cała się streszczam w balansowaniu, by skompensować zakręty, osłabić szarpnięcia, wyrównać pracą ciała nierówności nawierzchni. Za śpiącym miastem samochód rozpędza się i przysypiasz. Jedziemy zbyt szybko, ale nie od dzisiaj „zbyt” jest naszą normą w stosunkach z przestrzenią. Tylko nadwyżka bodźca gwarantuje spokój. Odczekuję swoje i trącam matkę w ramię kijkiem, stałym elementem wyposażenia samochodu. Idzie o to, by sprawnie przekazać butelkę z wodą i nie drgnąć, nie przekroczyć strefy bezruchu od pasa w dół. Rozpinamy most powietrzny gestów, dotyku, słań ponad twoim ciałem. Niewidoczne kładki, transparentne przesła, podtrzymywane napięciem mięśni i uwagi. Kto nie jechał autem tak ufortyfikowanym wokół śpiącego smoka, ten nie wie, co to precyzja ruchu.

A ty i tak znów zaczynasz się kręcić. Najpewniej dlatego, że nieco zwolniliśmy, zbliżamy się do Olsztyna, a tu nie da się forsować tempa. Odkąd jeżdżę z tobą, nie wpatruję się, odliczam. Pierwsze światła, drugie, trzecie. Wzrok odmawia detalom, rządzi się prawem serii. Zahaczam spojrzenie możliwie daleko, na granicy widoczności – i podciągam samochód. Szpula w mojej głowie pracuje nieprzerwanie. Jakiś kretyn ustalał rytm świateł w tym Olsztynie. Zawsze tamci, z prostopadłej, mogą dłużej. I musi, musi trafić się maruderska matka z wózkiem, spowolniała staruszka, ociągający się dzieciak, stopujący pies. Cała ta ociążała banda, która swoim ospalstwem konspiruje energetycznie przeciw mojej wewnętrznej presji. „Co się denerwujesz, mają zielone”. Dobrze, mają, ale

mogliby się pospieszyć, może wtedy i światła za nimi... Zastanawiające, jak szybko można znienawidzić ludzi. Mamrocę do siebie i puszczam wyobraźnię wolno. Zmieniam im kolor świateł co trzy sekundy, niech się nauczą. Kara za opieszałość. Podkręcam płytę ziemi i wsadzam ich pod igłę, niech im zagra. Na rogatkach uspokajam się, bo przysypia. Wtulam się w fotel i jest mi wszystko jedno. „Widzisz, matko – gadam sobie – jak szybko odpuszczasz światu. Wystarczy, że możesz puścić lejce wozu, którym i tak nie kierujesz”. Śpi.

Śpi, a już minęliśmy Mławę, mijamy Płońsk. Na tę trasę mam szyfr neuronalny w głowie, w końcu od szesnastego roku życia odliczałam pięć miast-przystanków. W autobusie pełnym bite sześć godzin szlakiem lokalnych szaleństw i brudnych opłotków. A mimo to, mimo to każda z miejscowości ma swój smak, najpewniej dzięki zbyt długim przystankom, wytrącającym z nich jakąś, choćby i niepewną, osobność. Teraz te miasta i przystanki smakują lekko, że się obudzisz. Patrzą na to wszystko gadzim okiem. Nie widzę barw, widzę ruch. Wszystkie moje zmysły zaklinają twój sen. Stacja benzynowa za Płońskiem, trzeba w końcu wyjść. Najpierw ojciec, szybko. Wraca, wskakuje za kierownicę. Wychodzimy z matką. Samochód z tobą, oby śpiącą, rusza, i będzie krążył, kółko za kółkiem, wokół stacji. A mnie dopada potężna ambiwalencja: rausz wolności i panika puszczanej kontroli. Wygrywa panika: wpadam na stację i rzucam się ku toaletom. Migiem, szybciej. Pukanie. „Łeb pod kran – mówię – łeb pod kran!” i wybiegam z toalety prosto w trąbę powietrzną. Myny ojca i matki mówią „no trudno, pękło!”, więc nie ma już manewru. Otwieram tylne drzwi i widzę twoją twarz. Wzrok masz nieobecny, patrzysz na mnie skurczem bólu. Jakby rozwarła się bezoka muszla i pokazała swą nagą, rozdygotaną substancję. Oskarżasz mnie każdym ruchem ciała: „Zawiodłaś”. Nie daliśmy rady, nie chcesz nas już słuchać. Nogi pracują nieprzerwanie, uderzasz z całym impetem w tył siedzenia, piąstki zaciśnięte. „Ćwiczysz rowerek na dziadku?” – ojciec próbuje rozładować napięcie, ale przecież nic tu się nie da rozładować, tu można tylko być, póki się nie zmęczysz. Wjeżdżamy na autostradę. Mantruję do ciebie to ostrzej, to czule, a ty po jednym głośnym, suchym okrzyku wykręcasz się na lewy bok, wbijasz wzrok w szybę, prostujesz nogi i zaczynasz bić we mnie. Gęste razy, coraz gęstsze, trzeba kaskaderskiej przytomności, by to przechwycić, przekierować, ujarzmić. A jednocześnie, jednocześnie przecież inaczej nie porozmawiamy. Prowadzisz swój obłądny monolog bez słów, za to z maksimum gestu. Pracujesz, jakbyś chciała rozerwać od środka skafander, przerwać zaciskający się kokon.

To nieprawda, że twój język cielesnego gniewu jest zbyt enigmatyczny, by dało się coś z niego zrozumieć. Nieprawda, że kopniaki to tylko eksplozje złości. Nie, twoje kruche ciało wygrywa teraz całym sobą etiudę niepokoju na gardło i mięśnie, na wymachy i uderzenia, na ciszę i wrzask. Bijąc, mówisz. Nie podkładam pod to słów, podkładam stany, a konkretniej swoje empatyczne symulacje. Nic więcej nie mam, ciężarem ciała blokując

ci ręce, obezwładniając nogi. To nie atak, to walka o ulgę, asekuracja przed uszkodzeniem. Powoli, spocona, ustępujesz. Elektryczna cisza w samochodzie. Każdy boi się ruszyć, by nie spłoszyć znowu twego wewnętrznego zwierzęcia, by nie zaczęło się miotać, rzucać tobą jak klatką. Jakie to straszne, być uderzanym łapą bólu od środka. Odrywam czoło od twojego brzucha i patrzę na skupioną buzię. Cienie pod oczami jak zrobione węglem, czerwone wypieki. Siny pastel. Byłabyś najbardziej przejmującą główką dziecięcą Wyspiańskiego. Z oczu skapują pojedyncze łzy. Wolałabym szloch, można go objąć ciałem, przyjąć jego energię. Szloch apeluje, zaprasza, dopuszcza. Cichy płacz ze wzrokiem utkwionym w nic odmawia dostępu. Wyciągam dłoń i gładzę cię po wilgotnej skroni. Badam, czy chcesz pić, wyciągam butelkę z ustnikiem. Ciągniesz do dna. Nadal na mnie nie patrzysz, a ja przepraszam cię w duchu za wszystko. A zwłaszcza za to, że nie możesz nam wykrzyczeć powodów swego płaczu. Podnoszę się, już granica Warszawy. Kolejna przegrana bitwa, znów udało się przeżyć. Patrzę w lusterko kierowcy i widzę, że ojciec płacze. I raptem tracę poczucie, że to Wisłostrada, że sznur samochodów. Ścigaliśmy się z czasem o twój sen, a teraz napięcie opadło. Jesteśmy wóz z prowincji, nie mamy nadziei. Mijamy skarpe, tam zielona kopuła sakramentek, obok kamienica wujka. Znam się z tym miejscem od strony szczęścia. Boli. Przelot przez Czerniaków, napierają wspomnienia z nastoletniości, te już nie szantażują idyllą. Tak lepiej. Chełmską w górę, na oswojony od czasów licealnych Mokotów. Siedzisz ciągle w granatowym sweterku, który przez całą drogę bałam się z ciebie zdjąć, a choćby nawet rozpiąć, by nie przyspieszyć wybudzenia. A może to wszystko nie tak, może trzeba było szybciej, jawniej doprowadzić do spektakularnej katastrofy, konkretnego rozładowania. A gdyby tak raz się nie bać, nie skradać, zachowywać się tak, jakby się po prostu podróżowało z dzieckiem? Bo przecież jesteś dzieckiem, siedzisz tu sobie, przypięta pasem, i spokojnie, zdaje się, patrzysz na miasto. Patrzysz i o nic nie pytasz, trwasz w tym ze swoich spojrzeń, które nie dostrzega, nie analizuje, a jedynie przewijają świat jak taśmę. Nauczyłam się rozróżniać wyrazy twarzy, które towarzyszą twoim wzrokowym peregrynacjom. Od martwej, porcelanowej ciszy, przez pozór zwykłego, trzeźwego kontaktu ze skórą rzeczywistości – po momenty, w których zachowujesz się jak wybudzona z lekkiego snu, o którym nie wie nikt z otaczających, póki nie nastąpi dyskretny, ledwie zauważalny efekt przekłucia niewidzialnego balonika tuż przy twoim uchu albo kłaśnięcia w niewidoczne dłonie. Pyk! – i zbystrzenie. Teraz mam pewność, że sita percepcji odławiają drzewa, budynki, ludzi, że to wszystko nie przelatuje przez ciebie na przestrzał. Że świat nie jest widmem.

A więc raptem widzisz, ocknęłaś się na ostatnich metrach, bo wjeżdżamy już w Malczewskiego. Bagażówkę zostawiliśmy daleko w tyle, będą pewnie za pół godziny. Ta ulica zawsze wydawała mi się naga, wystawiona na słońce, płytko osadzona w masywie miasta. Równoległa, Odyńca, jawiła mi się jako niemal studzienna. Może dzięki drzewom. A tu nie ma drzew. Tu jest nagość budynku, z pozoru kameralna, ale dziś zdaje się okrutna.

Bo trzeba będzie wyjść z samochodu, przeciąć chodnik, zdobyć piętro. A ty się już zdążyłaś zdenerwować i nie zanosisz się na spokojny przemarsz. Najpierw z samochodu wychodzą matka z ojcem, na czaty, przeważać, czy akurat nikogo. Ty się wściekasz, zaczynasz kopać fotel kierowcy. Patrzę z naszego zapoconego akwarium na spacerującą matkę w ciąży, z wózkiem i z małym synkiem. Swobodną, jakby nie miała dzieci. Dzieli nas szyba, a ja adoruję ich spokój. Widzę moich rodziców raptem nieskrępowanych; rodziców jakby niedowierzających, że można głośno, można powoli, można szybko. Smakujących gesty i słowa na wolności, ale krótka to wolność, bo już zbliżają się do samochodu, w którym trzepoce się mała rybka, a większej rybie serce łomocze w skrzelach. Matka puka w okno, znak, bym wyszła. „Słuchaj, droga wolna, zresztą ile tu będziecie siedzieć?”. No więc mówię do ciebie: „Słuchaj, teraz spróbujemy przejść do mieszkania, mama cię zanieś”. Otwieram drzwi, odpinam pas, biorę cię na ręce. Pierwsze kroki spokojne, wtulasz głowę, suniemy koleiną ciszy. Chodnik, połowa dystansu, zachodzi nam drogę staruszka: „O, jaki kolor włosków piękny!”. Nieco zdziwiona moim wyrazem twarzy, nie daje za wygraną: „No pokaż się, pokaż, cudeńko”. Puszczalam znaki ostrzegawcze, mogła się spodziewać, ale przecież dzieci rzadko wybuchają jak bomba. A ja już czułam, że tyka. I mamy eksplozję. Głowa do tyłu, ręce osobno, osobno nogi. Odchylasz się z dzikim wrzaskiem. „Co też!” – staruszka odskakuje na bok. Nie mam mocy, by to opanować, jestem tylko jednoosobową drużyną, prę zatem do przodu, ledwie unosząc kłęb żywego ruchu, sumę naraz wszystkich współrzędnych. Wibrującą gwiazdę. Słyszę, że moja matka zaczyna zasypywać lej: „Wie pani, dziecko ma poważne problemy, to nie jest brak wychowania”. Odsłuch urywa się, wtaczam się w obręb budynku. Ojciec, blady, przytrzymuje drzwi do klatki. Przestajesz krzyczeć, oszołomiona chłodem. Moja wdzięczność dla dostojnych cieni tej klatki jest nieskończona. Tylko jedno piętro, a podnosi na duchu, jakby mi się rozstąpiło lokalne Morze Czerwone. Skąd ta mieszanka adrenaliny i wzniosłości, nie wiem, może stąd, że rozpryski scaliły się ponownie w człowieka, który teraz, zmęczony, obejmuje na moich rękach władzę nad kolejnym miejscem zesłania.

E. Kącka, *Wczoraj byłaś zła na zielono*, Wydawnictwo Karakter, Kraków 2024, s. 155-163